

Arg. 1562

DO SWEGO BOGA

ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1229

- Dawniejsze prześladowania unitów.
- Do swego Boga.
- Jako żołnierz polski przywracał ludowi polskiemu odebrane mu przez Moskali kościół.
- Męczeński chrzest.



PIOTR

PAŃSTWOWEJ POD
TU WOJSKOWEGO
OWIE

DAWNIEJSZE PRZEŚLADOWANIA UNITÓW W TYCH MIEJSCOWOŚCIACH, KTÓRE LEGIONIŚCI UWOLNILI OD JARZMA MOSKIEWSKIEGO

Któż z wierzących, religijnych mieszkańców naszej Polski ukochanej nie wie, jak surowo wygnany teraz przez zawieruchę wojenną schizmatyczny rząd moskiewski prześladował braci naszych na Podlasiu i w ziemi Chełmskiej za ich głębokie i serdeczne przywiązanie do wiary ojców i do ziemi naszej?

Wszak surowo wzbronione były kompanie do Częstochowy, wszak nieliczne kościołki katolickie i ustanowionych przy nich kapłanów oddawano stale pod dozór policyjny, wszak najmniejsza ulga religijna, okazana po manifeście tolerancyjnym braciom i siostram unitom, co przyjęli katolicyzm, karana była, jako wielkie przestępstwo polityczne.

Więc nie o tych powszechnie znanych faktach chcemy tu pisać.

Chcemy przypomnieć polskiemu ludowi dawniejsze męczeńskie dzieje unickie, by z tych dziejów wyrozumiał, iż przemija zło i podłość ludzka, że wiara zawsze zwycięży, że tryumf sprawiedliwości dziejowej wobec niesłychanych nawet gwałtów przeszłości jest zawsze zapewniony.

Właśnie leży przed nami maleńka książeczka, zatytułowana: „Korespondencya dyplomatyczna, przedłożona w parlamencie angielskim z polecenia królowej Wiktoryi w odpowiedzi na adres z dnia 5 marca 1877 roku“.

Z książeczki tej, zawierającej dokumenty najprawdziwsze, czerpać będziemy przykłady i opisy czynów schizmatycznego rządu w stosunku do biednych unitów.

Prześladowania te sięgają jeszcze roku 1795-go, kiedy dokonano ostatniego rozbioru Polski.

Wówczas, jak pisze jeden z konsulów zagranicznych w Petersburgu, Helbig, „unici stali się ofiarą wściekłego prześladowania, któremu nadano bluźnierczą nazwę religijnej gorliwości. Niema rodzaju okrucieństwa, którego by nie

użyto, aby ich przymusić do schyzmy, do prawosławia. Co w tym przedmiocie słyszałem, przejmuje zgrozą. Więcej niż 800.000 ludzi zmuszono przeciw ich woli i w sposób okrutny, męczeński przyjąć prawosławie“.

Sto lat trwało utwierdzanie unitów w prawosławnej wierze. Widać trudna to była sprawa, skoro w roku 1874-ym podpułkownik angielski Mansfield, konsul Wielkiej Brytanii w Warszawie, komunikuje swej władzy w Londynie, iż w styczniu tego roku w powiecie Międzyrzeckim włościanie pewnej parafii „otoczyli cerkiew i nie pozwolili wojsku rosyjskiemu wprowadzić księdza. Nareszcie włościanie zostali poskromieni i otoczeni wraz z dziećmi i żonami. Dano im do wyboru albo podpisanie deklaracji o przejściu na prawosławie i przyjęcie księdza, albo plagi. „Gdy podpisać nie chcieli — raportuje dalej angielski podpułkownik swej władzy — każdy dorosły mężczyzna dostał pięćdziesiąt, kobieta dwadzieścia pięć, a każde dziecko bez różnicy płci i wieku dziesięć uderzeń nahażką. Jedna kobieta gwałtowniejsza otrzymała aż sto. Mam wieści o większych barbarzyństwach, ale ograniczam się tylko na

faktach, których prawdziwość byłem w stanie sprawdzić.

„Więzienia w Siedlcach są przepelnione, a że są za szczupłe, wielu trzymają na podwórzu i w szopach, co w tej porze roku i w tym klimacie jest bardzo niehumanitarne“.

„Przez cały rok 1874 nie ustawały prześladowania ani na dzień jeden“.

Dnia 1 grudnia 1875 roku podpułkownik Mansfield wysłał do hrabiego Derby w Londynie raport następujący:

„Od czasu, jak ostatni raz miałem zaszczyt pisać do Waszej Wysokości, skutki walki między władzami rosyjskimi i włościanami unickimi były straszne.“

„W jednej wsi włościanin, nie chcąc dopuścić, by jego dziecko ochrzczone zostało przez popa, zaczął się z całą rodziną. Śmiertelność między włościanami, koczującymi po lasach w tej porze ostrej jest zastraszająca.“

„Ostatnimi czasy wydano rozkazy kozakom spędzenia włościan do wsi, co zmusza koczujących do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce... Włościanie widząc, że ich posiewy i zbiory są niszczone przez kozaków, postanowili w wielu wypadkach nie uprawiać swoich pól...“

W kilka tygodni później wysłał podpułkownik Mansfield następujący raport:

„Włościanie przy nawracaniu na prawosławie są bici przez wojaków tak długo, aż doktor wojskowy powie, że dalsze bicie zagraża ich życiu. W jednej wsi po takiej egzekucyi przeprowadzono gromadę włościan przez wpół zamarznąłą rzekę po pas głęboką do cerkwi parafialnej, wpuszczano jednemi drzwiami między dwa szeregi wojska, podpisywano ich nazwiska na petycyi i wypuszczano drugimi drzwiami; przez cały ten czas włościanie wołali: możecie nazywać nas prawosławnymi, ale my pozostaniemy wierni wierze ojców naszych... Skonstatowanem jest urzędownie, że od pozostałych unitów guberni lubelskiej w liczbie około 300.000 oczekują takiego samego poddania się, co znaczy, że wszędzie podobnymi środkami chcą uzyskać podobny rezultat.

„Patrząc na to wszystko, widzimy, że tak samo działo się na Litwie w latach 1835 i 1836, kiedy przeszło milion unitów niewybrednymi środkami zostało zmuszonych do przejścia na prawosławie“.

Aliści rząd moskiewski nie byłby prawdziwym spadkobiercą carycy Katarzyny i innych tyranów, gdyby nie uświetnił tego nawracania

unitów masowymi morderstwami na poświęcanej ziemi u wrót kościołów. W trzech parafiach Zabłotowie, Drelowie i Pratulinie dokonano bestyalskich mordów nad procesyami wychodzącymi z kościołów. Uzbrojone rotty moskiewskich żołdaków, dobrze ukrytych za ogrodzeniem cmentarnem dawały liczne salwy z karabinów w zwarty tłum pobożnego ludu, który z pieśnią na ustach, z krzyżem w ręku wychodził z kościoła.

Na pamiątkę tego ohydneho morderstwa, dokonanego z całą bezwzględnością przez uzbrojonych zbirów na zasłaniającym się jeno Krzyżem Świętym biednym ludzie siermiężnym, wydano we Lwowie w kilka lat później ciekawy medal, którego opis podajemy.

Medal, wykonany z brązu w rozmiarze koła o średnicy ponad 60 milimetrów, przedstawia na stronie frontowej mogiłę z krzyżem oplecionym w wieniec cierniowy, z pod którego wyziera drugie godło męczeńskie: palma. U stóp krzyża wsparta o mogiłę widnieje tarcza z herbami Polski, Litwy i Rusi (Orzeł Biały, Pogoń, św. Michał-Archanioł). W dole data roku „1874”. W otoczeniu napis: Braciom Rusinom, Pomordowanym przez Carat moskiewski za wierność dla kościoła i Polski. Na-

pis oddzielony jest od wypukłych brzegów medalu kołem drobnych perełek.

W ten sam sposób ujęto płaszczyznę odwrotnej strony medalu. W otoku górne półkole zajmuje tu napis: Województwa Podlaskie i Lubelskie. W dolnem półkolu pod rozetami — nazwy wsi unickich, gdzie dzicz moskiewska największych dopuściła się gwałtów. A więc Polubicze, Drelów i Pratulin. Na tle w górze gwiazda sławy rozpościera obfite blaski, opromieniając księgę, na której rozwartych kartach czytamy: Martyrologia Polska. Poniżej zaś regestr nazwisk włościan, którzy legli trupem na dziedzińcu kościelnym.

Nazwiska te ku chwale moskiewskiego oręża, a ku świętej pamięci męczenników narodowych lud nasz powinien sobie wyryć głęboko w sercu.

Zamordowani tedy zostali przez żołdaków cara w Drelowie, piersiami swymi chroniąc znak Wiary Katolickiej:

Andrzejuk Jan, Baryluk Wincenty, Bocian Teodor, Bojko Konstanty, Bojko Łukasz, Charytoniuk Trochim, Charytoniuk Andrzej, Franczuk Ignacy, Franczuk Michał, Hawryluk Maksym, Hryciuk Nicety, Karmaszuk Daniel, Kiry-

luk Filip, Łukaszuk Konstanty, Osipiuk Bartłomiej, Pawluk Szymon, Romaniuk Jan i Tomaszuk Onufry.

Pozostałych przy życiu we wszystkich tych parafiach wywieziono do więzień, później zaś w głąb Rosyi.

I znowu powołamy się na urzędowe sprawozdanie anglika R. C. Webstera, który z polecenia swego rządu odwiedził zesłańców unickich w Rosyi.

Pisze on:

„Wielką liczbę unitów osadzono po fortecach, 300 najstalszych, trzymanych poprzednio w więzieniach, wywieziono do guberni Chersońskiej, 300 innych do guberni Ekaterynosławskiej; ci wszyscy posiadacze drobnych gospodarstw, zmuszeni byli je opuścić, porwano ich nielitościwie od żon i dzieci, które muszą dzielić swe domy z kozakami, u nich rozlokowanymi.

„Tych 600 wygnańców rozdzielono w guberniach Chersońskiej i Ekaterynosławskiej po jednemu na każdą wieś. Starszyzna wsi jest odpowiedzialną za każdego unitę, którym zabroniono komunikować się z rodziną i przyjaciółmi, gdyż wzbroniono im odbierać listy lub pieniądze. Wszyscy są pod dozorem policyi, a rząd

chciał, by pracowali przy kamieniołomach, czego, gdy ci odmówili, twierdząc że mają własne grunta i gospodarstwa i mogą się utrzymać, a na ciemieżców swoich pracować nie chcą i żądają, by im wolno było powrócić do domów swoich, rząd nie kazał im wypłacać przeznaczonych ośmiu kopiejek dziennie.

„Martwią się ci biedacy tylko tem, że żony ich i dzieci, prześladowane przez popów i niszczone przez wojsko, zostaną zmuszone do przejścia na prawosławie“.

Umyślnie wybieramy urzędowe raporty angielskie w tych sprawach. Anglia jest dziś sojuszniczką Rosyi i zapomniała zapewne o tych okropnych, na wieki hańbiących cara i jego rząd prześladowaniach unitów.

Że obawy biednych zesłańców nie były słuszne, świadczy o tem z życia prawdziwego wzięty przykład, który tak pięknie opisał Stefan Żeromski, pod tytułem: „Do swego Boga“.

DO SWEGO BOGA

Wązka drożyna przeciska się przez las zwarty, podszyty młodą sośniną, tworząc między szczytami drzew przedział nieznaczny. Gałęzie świerków, na których leżą grube, sopłami obwieszane kiście śniegu, zginają się pod ciężarem nad tym leśnym przesmykiem, zaledwie oznaczonym dwiema skibami śniegu, które sanie chłopskie odwróciły

Dzień był marcowy, jasny, a mroźny.

Teraz, gdy się na zachodzie rozpościerać zaczyna półmierzch błękitny, nawet zaspasy pozataczane dookoła pniów, stają się sypkimi, jak mąka. Na przedziwnie czystej przestrzeni niebieskiej, jaka płonie już zorzą wieczorną, las stoi nieruchomy, niby wielki ejkonostas świątyni greckiej; nieznaczne podmuchy strącają z wierzchołków drzew drobniutkie pyły śniegowe i płyną między gałęziami po tle purpuro-

wem, jakby poplątane smugi nikłego dymu, wzbijające się z niewidzialnych kadzielnic...

Cisza tam głucha, nieskończona, śmiertelna...

Drożyną ową idzie stary i zgrzybiały, siwy jak gołąb chłopowina Felek z wnuczką Teofilką — poły lichego kożucha za pas zatknął, kij daleko przedsię stawia, szeroko rozkracza nogi, sapie i kaszle, lecz nie ustaje, choć mu zaczerwienione oczy łzami zachodzą, choć pot się sączy zmarszczkami zwiedłej, przez wiatr wychłostanej twarzy. Teofilka staje swymi wielkimi butami w śladach dziadowskich, co chwila chuścinę na piersiach zawiązuje mocniej i, pomimo, że upada ze znużenia, dotrzymuje staremu kroku. Z trwogą spoglądają na zorzę rozniecającą się nad szczytami i spieszą coraz bardziej. Od czterech dni idą tak, krótko odpoczywając przy stogach siana i pustych szopach, nocując po chatach, zdaleka za wsiami stojących, przebywają pustkowia bezludne, lasy czarne i głuche, brną po zaspach głębokich, po lodach rzek i stawów, śniegiem przypruszonych, pod nogami dzwoniących — idą leśniami, dalekimi, a zapadłymi drogami — z pod samego Drohiczyńska, aż za Warszawę — miasto — spowiedź „uhopić“...

Co roku tak chodzą we dwoje — odkąd na wiarę cudzą zapisani — grzesznicy oni wielcy oboje, zdrajcy oboje...

Stary Felek jeszcze przed „zbrodniami“ synowi swe pięć morgów odpisał, wnuczki się doczekał, synową pochował i pacierze pod piecem siedząc, odmawiał już tylko, gdy mu się nagle, a niespodziewanie na ruskiego podpisać kazano. Synowi też, wnuczce też — całej wsi... Sam arcypop coś do nich gadał, gdy ich wszystkich do gminy zapędzono, wieś się oparła.

Pewnej nocy zimowej wojsko zaszło, ludzi wypędziło z chat na szare pole, w mróz trzaskający. Trzy dni kozaki po chatach obozem stały, bydło rżnąc i niszcząc mienie, trzy dni ludzie stali z odkrytymi głowami na polu, na śniegu, do Boga się modląc. Wreszcie naczelnik wojskowy wielkim się gniewem zapalił — dawaj bić. Do naga rozbierali mężczyzn i kobiety, bijąc po kolei, a srogo — aż się naród całej wsi zawściekł i jął się rozbierać sam, pod baty kłaść sam, pokotem; — aż się Felków syn z pięściami posunął do naczelnika, do Gołowińskiego... Dopiero nastał sądny dzień!

Bili tego Leona nahajkami na śmierć, sześciu, szmaty z niego zwlekli, naczelnik ostro-

gami grzbiet obnażonemu, na śniegu we krwi leżącemu szarpał, wrzeszcząc w zapamiętałości: „Podpiszisz!” — Na nic!

— Ni, ni, ni.... — szeptał tamten.

To go umierającego dźwigać kazał, twarzą do siebie obracać i pytał:

— Ty russki?

— Ni, Polak, na polskiej ziemi się urodził... — Tak i „uświerkł”, szepcząc do siebie: — Ni, ni!...

Gdy wzięli wnuczkę Teofilę bić — Felek nie wytrzymał: podpisał duszę swą i wnuczki na złą wiarę. Stare u niego było serce, dziadowskie... Jak liść dygotał, u nóg Moskalowi się włókł, przyszwę butów całował — aż podpisał.

Odtąd rok rocznie przed Wielkanocą idą Bogu się kajać za zdradę. Dziad taką drogę zna, gdzie nie tylko żandarma, ale człowieka żywego nie spotkasz.

Jest daleko, za Warszawą — miastem, kościółek maleńki, stary: ksiądz tam jest młody, świętobliwy, a miłosierny. Oczy u tego księżyka we łzach, słowo ciche, a takie mądre, a takie słodkie!...

Przyjdą w nocy, zastukają, dziad przez szybkę poszepcze — wnet on ich boczną furtką

do kościoła prowadzi, spowiedzi słucha, a sam płacze, serdecznie, „słozami“ gorzkiemi. Potem wszyscy krzyżem leżą, aż do rannego świtania. Gdy odchodzą, naucza ich ten sługa boży zawsze jednakowo: miłujcie nieprzyjacioły wasze, miłujcie nieprzyjacioły wasze...

Nim słońce wzejdzie, nim się ludzie pobudzą, już oni od miejsca tego daleko... Teraz oto, gdy dzień się szybko nachyla, spieszą już co tchu, aby na wiadomy dziadowi nocleg trafić. Las rzednie, otwiera się pole czyste, śniegiem równo zasłane, bezludne, dalekie, bezmierne.

Na kraju lasu Felek przystanął, oczy dłonią od blasku nakrył, z nogi na nogę przestępując, wargi mu drżą. Pola tego on nie zna, chałup tu kilkoro powinno stać pod lasem.

— Obce pole... — szepce do siebie w trwodzie. Na środku pustkowia wiatr wzdyma sypkie bryłki śniegu, to je rozmiata, to wieje, jak zboże szuflą, to cały obszar przestworza ciągnie za sobą, jak obrus, to go daleko, daleko, lejkiem w górę podrywa, to jakby w falach dymu od końca do końca leci.

— Zbłądził ja, stary głupiec, hej! — mówi cicho, w tył zasuwając czapkę.

— Za tym torem chodźmy, dziadku...

— Za torem...

Ruszają znowu i brną po kolana. Śnieg na polu głębią leży, wiatr luty, burza idzie. Bylinky zeszłoletnie, suche, cieniutkie, gdzieniegdzie nad śniegiem stoją, kiwają się w wichrze żałośnie, jakby nad tą dziewczyną zawodziły, jakby za nią świstały: ej, ej... Tarnina, od lodu i sopli błyszcząca, badyle głogu czepiają się jej spódnicy, jak ręce miłosierne, co chcą zatrzymać...

Buty obojgu przemokły do cna, nogi kostnieją, tchu brak.

— Isz ty, wnuczko, jak nas ten wiatr, moskiewski sługa, od Boga odpędza — mamle półrozumiale dziadowina.

Nagle coś dudni i wre za nimi, to wicher w las uderzył. I zakotłosał się las, zastękał... Teraz burza w nich bije, szmaty rozmiata, w oczy garściami śniegu ostrego, jak tłuczone szkło, ciska. Chwilami, jak żywy siłacz brzemiona śniegu z miejsca na miejsce przerzuca, zdziera go, aż do gruntu nagiego i fryga wysoko — nad las.

Kamień tam był wielki na polu, do niego się dowlekli, usiedli odpocząć...

Noc zaszła nagle ciemna. Burza w niej wre — długo, długo... Czasem znienacka

ucichnie, wówczas z wysokości niebieskiej pada na oblicze pustkowia, blade, zimne, znikome półświatło miesiąca, dotyka lodowatymi promieniami przytulonych do siebie, skrzepłych, śniegiem przysypanych głów, zimnych oczu otwartych i leż na rzesach wiszących, co się w sople lodu ścięły...

Gdy wstaje i płonie zorza poranna, znowu na równinie cicho, tylko z wierzchołków drzew niewyraźne podmuchy trącają pył lekki, śniegowy i płynie niby biały dym znikomy, wzbijający się z niewidzialnych kadzielnic...

Stefan Żeromski

JAKTO ŻOŁNIERZ POLSKI PRZYWRACAŁ LUDOWI POLSKIEMU ODEBRANE MU PRZEZ MOSKALI KOŚCIOŁY

I oto po latach wielu, kiedy setki już ludu pomarło, kiedy zdawało się, po małej uldze z okresu manifestu tolerancyjnego, znowu moskal-schizmatyk rozpocznie swe nawracania w „odłączonej” ziemi Chełmskiej i Podlaskiej, kiedy lud biedny znikąd nie widział ratunku na pohańbienie kościołów i panoszenie się popów, gruchnęła wieść o wojnie.

Szalała ona rok cały, nim ogarnęła swą pożogą i ziemie unitów. Wraz z wojskami, goniącymi moskali, przez Bug weszły na ziemię Podlaską i Chełmską oddziały wojska polskiego, w szeregach którego byli synowie męczonych przez moskali unitów, byli ci, co w dziecięcych latach zwiedzali Podlasie.

Maryan Dąbrowski, jeden z takich Legionistów polskich, opisuje, co przedewszystkiem wojsko nasze robiło w Chełmszczyźnie i na Podlasiu.

W DRELOWIE

Przekroczyliśmy Wieprz świtanie 10 sierpnia. W przedniej straży szedł pierwszy szwadron Beliniaków pod wodzą Orlicza-Dreszera. W oparach błotnistej rzeki ginęliśmy wszyscy. Równie, miarowo tętnił pontonowy most pod kopytami koni prowadzonych stępą. Niezadługo spotkaliśmy pułk I-szy, Śmigłego. Szedł on ubezpieczonym marszem, wysyłając kompanię Tatara przodem na patrole. Pluton służbowy przy sztabie brygady ruszył naprzód, za nim Piłsudski, Sosnkowski i reszta sztabu. Szliśmy tedy jakoby w przedniej straży całej brygady.

Wszędzie zgłiszcza spalonych wsi, wszędzie nad zgłiszczami rozdarte boleśnie ramiona krzyżów tej nieszczęsnej, umęczonej za wiarę ziemi Podlaskiej.

Brygada na postoju otrzymała rozkaz przejścia do rezerwy. A więc wyszliśmy z pierwszej linii bojowej, by nieco odetchnąć, wypocząć.

Maszerujemy po drodze tej ziemi, krwią męczeńską zroszonej w boju najokrutniejszym, w boju biednej ludności unickiej, bezbronnej, ze zbrojnemi bandami opryszków carskich, nawracających nahajem i bagnetem na prawosławie. Po tych piekielnych egzekucjach czekała jeszcze perfidna polityka popów prawosławnych, którzy zabierali przydrożne kaplice katolickie, dawniej unickie, „aresztowali“ krzyże katolickie, całe kościoły i cerkwie. Ileż razy stwierdzaliśmy, że krzyże przydrożne nie mają tych prawosławnych poprzecznych bierwion, jeno skromny krzyżyk żelazny, na szczycie na półksiężycu zatknięty. Ileż razy chłopci-starcy ze łzami w oczach witali nas, opowiadając o swoich męczeństwach za wiarę. Ten śpiewny akcent Podlasiaków do dziś dnia dźwięczy mi w uszach:

— Ja czterdzieści lat do tej kaplicy nie mogłem wejść. A teraz, Boże drogi, wojsko polskie oddało nam ją z powrotem na zawsze — płakał chłop w Wólce Łuzieckiej.

Droga wypada na historyczny Drelów. We wsi tej rota siepaczy dała swego czasu trzy salwy z drogi do procesyi, wychodzącej z kościoła.

Przyjechaliśmy do Drelowa 15 sierpnia. Z ludnej wsi uciekli tylko prawosławni — katolicy wszyscy ukryli się w lasach i na wieść,

że Legiony znajdują się niedaleko, wrócili do wsi z całym dobytkiem. Moskał, napierany silnie, zaledwie trzy chaty zdążył podpalić.

Żywiołowo zrodził się u nas plan oddania kościoła ludności katolickiej, zwalenia ze szczytu prawosławnego krzyża, odprawienia w kościółku przynajmniej różańca do Matki Boskiej. Wraz z kapitanem Śniadowskim, chorążym Maszkowskim i porucznikiem hr. Krasickim uprosiliśmy kapelana trzeciego pułku, ks. Żytkiewicza, by zatrzymał się na dłużej w Drelowie. Tymczasem zaczęliśmy przygotowywać kościół. Na strychu świątyni znaleźliśmy cały ołtarz i kilkanaście posągów świętych katolickich. Po drabinie wdarliśmy się na szczyt. Tu jeden z szeregowców 5-go batalionu N., ślusarz z zawodu, w kilka minut załatwił się z dachówkami szczytu. W kwadrans czasu prawosławny krzyż, zrąbany toporkiem, leżał już pod ścianą płotu. Szczyt kościółka był wolny! Nad głównem wejściem zawieszono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Posągi świętych, połamany krzyż unicki ze strychu kościoła wnieśliśmy pod carskie wrota. Wkrótce lękliwy głos sygnaturki wzywał wiernych na nabożeństwo. W cerkwi — do niedawna prawosławnej — gospodarzył w otoczeniu nas i ludu kapelan

wojsk polskich. Otwarto na ścieżaj carskie wrota, w głębi ustawiono ołtarz. Na czystym, białym obrusem okrytym stole stanęła przyniesiona ze strychu figura Chrystusa, którą zwykle w procesyach rezurekcyjnych noszą tuż przy księdzu.

Chrystus zmartwychpowstały! W blasku świec woskowych unosił się nad tłumem płaczącym Chrystus zmartwychpowstały, a u stóp jego klęczał nasz skromny kapelan, pogrążony w modlitwie. Po raz pierwszy od lat 40 popłynęły w tym kościele słowa modlitwy polskiej. Tłum dawnych unitów łkał słowami modlitwy.

Kościół w Drelowie został oddany ludowi polskiemu. Nie poszły na marne jego męczeństwa za wiarę.

Wracaliśmy konno późnym wieczorem na kwaterę sztabu brygady. Po drodze zatrzymuje nas siwy starzec:

— Panowie, co to, wy z Drelowa idziecie? ja słyszałem dzwon z kościoła. Co to jest, co się tam dzieje? Moskał przecież uciekł.

— Idźcie, stary — mówimy — kościół jest już na nowo wasz. Jutro tam o 7-ej rano ksiądz Ofiarę Świętą odprawi.

Zatrzęsa się pierś starego chłopca i łkając mówił: — Ja krew tam przelał, strzelali, bili

nas nahajami. Krew z drogi na kościół tryskała... panowie, niech was Bóg, niech was Matka Najświętsza... Otom dożył, oto już antychryst pokonany, Kościół znowu nasz, kościół nasz.

Na horyzoncie świeciły łuny pożarów, wzniecanych moskiewską ręką.

W milczeniu jechaliśmy dalej. Chłop spieszenie dążył do Drelowa.

W LEŚNEJ

Kiedys w lesistej miejscowości, pod dziką gruszą wykryto źródło. Okoliczni mieszkańcy odkryli je z trudem. Korzystali ze źródelka, czerpiąc ożywczą wodę. Aż pewnego razu rozeszła się wieść dziwna, że u źródła na pniu gruszy objawiła się Matka Boża. Wkrótce stanął w tem ustroniu piękny klasztor. Na wzór Jasnej Góry klasztor objęli OO. Paulini. Z cudownego źródelka lud, przychodzący w pobożnych pielgrzymkach do Leśnej, na całe lata zaopatrywał się w „leki“ na wszelkie dolegliwości. Szeroko słynęła cudowna Matka Boska z Leśnej. Rósł klasztor w bogactwa i znaczenie.

Przyszły czasy religijnych prześladowań, które w XIX stuleciu jedynie prawosławna

Rosya stosowała. W walce prawosławia z możną Unią sprytni ajenci Pobiedonoscewa zwrócili uwagę na klasztor w Leśnej.

Odebrać ludowi podlaskiemu mistycyzm religijny, czar tajemniczy, nieobliczalne dobra duchowe, cudami słynący obraz i klasztor, ostoję katolicyzmu — było dziełem kilku miesięcy za ledwie.

W roku 1880 car Aleksander III osobnym ukazem zagrabił klasztor w Leśnej na rzecz prawosławia. Od roku 1892 klasztor ten, do niepoznania zmieniony 12-ma cerkiewnemi kopułami, stał się najczynniejszą instytucją prawosławną w Polsce. Pieczę nad cudownym obrazem objęły prawosławne mniszki. Przeoryszą została ciotka samego cara. Miliony rubli corocznie zbierano w salonach Moskwy i Petersburga na rzecz prawosławnej „obiteli“ w Ziemi Podlaskiej.

Założono w klasztorze szkoły i ochrony dla dziewcząt, zabranych nieraz siłą z pośród unickiej ludności. W czasie polnych robót wychodziły mniszki prawosławne z klasztoru, by w polu i na łące przy pracy, pomagać chłopkom, równocześnie szerząc prawosławie i myśl odstępstwa od katolicyzmu.

„Obitiel“ w Leśnej odwiedził nawet osobiście car Mikołaj II, wyznawca Sarowskiego Serafima.

Dnia 16 sierpnia 1915 roku drogą do Leśnej jechał nieliczny oddziałek polskiej kawalerii. Na czele kłusował kapitan Śniadowski, przy nim kapelan I-go pułku, ks. Ciepichał.

Wszyscy mieliśmy w pamięci poprzedni dzień oddania ludności katolickiej kościółka w Drelowie na własność.

— W Leśnej nie zastaniemy w całej osadzie ani jednego katolika. Przecież to parafia wyłącznie prawosławna, gdyż katolikom nie tylko chałup, ale okolicznych pól i łąk nabywać nie wolno było — odzywa się jeden Podlasiak-Legionista.

— Nic to, zwołamy ludność z pobliskich wsi — brzmiała odpowiedź.

Z lasów wyłoniła się wreszcie „obitiel“. Tuż przy dawnym klasztorze już powstała nowa z cegły czerwonej wznoszona cerkiew. Duży kompleks rozlicznych zabudowań otacza świątynię.

Szybko rozeszła się wieść, że do Leśnej przybył ksiądz katolicki. Na ścieżkach, wiodących z lasu do osady, na polnych drożynach ukazały się liczne postacie. Spieszył lud podlaski do swego dawnego klasztoru.

Obszerne wnętrze świątyni w Leśnej, zupełnie przerobionej na cerkiew prawosławną, wypełnił lud pospołu z Legionistami brygady Piłsudskiego. Ośmioro dziatwy z gorejącymi świecami otoczyło ołtarzyk, na którym brewiarz ks. Ciepichała i mały krucyfiks, jedyną świętość katolicką stanowiły. Rozległy się słowa łacińskiej modlitwy, krople wody święconej spadły na ściany i posadzkę świątyni.

Lud w ciszy niezwyklej modlił się żarliwie.

Na chórze Legioniści nasi bagnetem wyłupywali tablicę, głoszącą, że klasztor ten car Aleksander III-ci oddaje mniszkom prawosławnym.

— Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi — intonuje kapłan.

W kościele zamiast śpiewu słyhać płacz radosny. Starzy chłopci płaczą, jak małe dzieci.

Z chóru wynosimy tablicę na cmentarz. Stoi tu opodal krzyż prawosławny, na pamiątkę wyłączenia Chełmszczyzny wzniesiony przed 3-ma laty.

W tym czasie ks. Ciepichał głosił słowo Boże, przypominając ludowi jego męczarnie za wiarę. Baby w głos zawodziły.

— Panie ukochany, my pójdziemy tam zobaczyć, czy „on“ obrazu cudownego nie

ruszył. Ja pamiętam jeszcze przed 35 laty jak to się otwierał ten obraz — słyszę błagalny szept obok.

— Idźmy, bracia!

Bocznym korytarzem udaliśmy się w kilkunastu za „carskie wrota“. W dziwnem oczekiwaniu spędziłem kilka chwil przed starym obrazem katolickim, kryjącym cudowny wizerunek Matki Boskiej z Leśnej. Powoli odsuwa się zasłona. Któż zdoła opisać rozpacz ludu, kiedy odsłonięto zupełnie... pustą, wytłoczoną pluszem czerwonym ramkę.

— Zabrali, ukradli nasz obraz. Zabrali. Już nie ma, już nas opuściła Matka Boża!

— Ja widziałam, najstarsza monaszka wzięła obraz do samochodu, do Brześcia czy Mińska. Powiadała, że cudowny obraz ich wojsko musi obronić — mówi jakaś kobieta.

— Wam, panowie, Bóg pobłogosławi odebrać „im“ obraz. Wróci on tu do swego klasztoru — ufnie powiada jakiś podlasiak.

Powtórzyła się scena z Drelowa. Oddaliśmy klasztor pod opiekę ludności katolickiej. Na murach świątyni umieściliśmy napis:

„Kościół ten po latach 40-tu restytuowany został przez kapelana wojsk polskich ks. Ciepichała w obecności świadków: kap. Śniadow-

skiego, poruczników Kamińskiego i Żmigrodzkiego, ob. Dąbrowskiego, żołnierzy z Brygady Piłsudskiego oraz licznych rzesz okolicznego ludu. Dnia 16 sierpnia 1915 roku“.

Tablicę z kościoła na pamiątkę wyłączenia Chełmszczyzny spaliliśmy na podwórzu klasztorным. Leśna po latach 40-tu znowu powróciła na łono kościoła katolickiego.

MECZEŃSKI CHRZEST

(Zdarzenie prawdziwe z kampanii na Wołyniu)

W słoneczny październikowy dzień zajęły 2 bataliony piechoty naszej wieś Gałuzie. Chłopsstwo nieufnie spoglądało na wkraczających strzelców. Komenda zarządziła krótki spoczynek.

Z jednej chałupy wybiegł jakiś rozczochrany „rusin“ z siekierą i cisnął nią w złożoną w kozły broń sekcyi. Jak się okazało, pragnął w ten sposób odwrócić uwagę patrolu od przekradających się do lasu dwóch chłopów, spieszących najwidoczniej dać znać kozuonom o sile i stanie wojsk, świeżo przybyłych do wsi.

Żołnierze nasi zastrzelili jednego z tych chłopów. Drugi znikł w gęstych zaroślach. Wobec tego zarządzono ostre pogotowie. Sztab jeno zsiadł z koni przed kamiennym dworkiem na końcu wsi.

Gospodarz dworku, polak-dzierżawca, zaprosił strudzonych „gości” na obiad. Sam usługiwał, obawiając się, by służba chłopska nie uczyniła jakiegś krzywdy.

Był z nami i kapelan I-go pułku ks. Ciepichał. Widok zacnego księdza, dzielącego trudy uciążliwej kampanii z przedniemi forpocztami swego pułku, dziwnie podziałał na gospodarzy.

Przy końcu obiadu wyszła do nas i pani domu, prowadząc starszego chłopczyka, a młodszą dziecinę trzymając na ręku.

— Ochrcijcie mi, księżę-kapelanie dzieci. Bóg wie, co z nami stać się może. Już druga taka okazyja nie nadarzy się zapewne. Przyjmijcie moich synków do wielkiej rodziny, której Polska wierząca na imię — rzekła wprost po kilku słowach powitania:

— Nadamy im imiona Tadeusza i Stefana, na pamięć wielkich wodzów polskich, Kościuszki i Czarnieckiego.

Wzruszenie odmalowało się na wszystkich twarzach. Oto prawdziwa matka-polka, nieznana nikomu bohaterka. W obliczu wroga, w obliczu nadciągającej groźnej nawałnicy bitewnej nie waha się prosić kapelana pułkowego o chrzest dla synów. Może za chwilę przyjdzie nam opu-

ścić wieś, może za chwilę w perzynę rozwałą granaty ten domek...

Na dziedziniec wpada galopem ordynansowy oficer. Po chwili staje z meldunkiem przed podpułkownikiem Śmigłym. Dowódca nasz daje mu ręką znak, by szedł za nim do osobnego pokoju.

Spojrzelśmy po sobie. Wiemy co to znaczy. Meldunek nie po myśli. Chłop-zdrajca naprowadził przeważające siły. Na potwierdzenie tych słów rozległy się dalekie strzały placówek u południowego krańca wsi.

Na dziedzińcu słyszać już ostre rozkazy.

— Główne siły piechoty natychmiast opuszczą wieś. Tylna straż ostrzeliwuje się, aż do zajęcia pozycyi. Tylną straż zmieni rotmistrz Orlicz na czele swoich ułanów. Sztab rusza z główną siłą.

Wchodzi następnie podpułkownik do pokoju.

— Państwo z nami na bryczkę, zabrać co możecie i wyjeżdżać.

— Nie, panie pułkowniku, tyle pracy włożyliśmy w tę dzierżawę, to cały nasz majątek, cała nasza przyszłość i przyszłość dzieci. My zostaniemy. Moskale nie mogą nam nic złego uczynić. Za co? Tylko dzieci ochrzciecie.

— Jak państwo chcecie.

— Pułkowniku, ja zostanę, by dopełnić obrządku chrztu, potem złączę się z ułanami Orlicza, mój „antychryst“ nie z takich opałów wynosił mnie szczęśliwie — błagalnie raportuje ks. kapelan, wskazując przez okno na małego konika.

— No, dobrze, niech ksiądz zostaje.

Nie minął kwadrans nawet, jak wieś opustoszała, piechotę zmienili ułani Beliny. Było ich czterdziestu kilku. Część wciąż ostrzeliwała południowy kraniec wsi pod lasem.

We dworze tymczasem wszystko przygotowano do chrztu. Już ojcem chrzestnym starszego chłopaka został podpor. Janek od Beliny, matką — stara klucznica. Oglądano się za drugą parą chrzestnych rodziców. Nie ma co, na matkę zawołano — Parasnę, piastunkę dziecka, chłopkę miejscową.

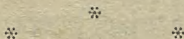
Drogą ciągnęły sanitarne podwozy d-ra Sławój-Składkowskiego, spiesząc bardzo.

Wesoły, jak zawsze, doktor wpadł do dworu zapytać nas o nowiny.

Ks. Ciepichał jego upatrzył na drugiego ojca chrzestnego.

— Naturalnie, a jakże! ochrzcimy chłopaków. Bóg i Ojczyzna! Drobnostka wszystko! Moskale nie mogą nic zrobić państwu. Tak! tak!

No, raz, dwa, trzy! Podwody dopędzę później. Do dzieła! Gdzie bąki małe? — wesoło krzyczał dzielny doktor.



W pokoju, zalanym słońcem, stały dwie pary rodziców chrzestnych. Ojcowie przy szablach, rewolwerach. Chrzestne wystraszone. Dzieciaki płaczą. Jedna tylko matka szczęśliwa i radosna.

Ks. Ciepichał odmawia krótkie modlitwy. Wodą święconą z buteleczki, wodą, którą kropi samotne mogiły poległych strzelców, chrzci płowe główki chłopaków.

— *Baptiso te Stefane, in Nomine Patris, Filii et Spiritus Sancti.*)*

Strzały od lasu poczynają być coraz intensywniejsze. Ułani na podwórzu już na koniach. Łącznik raportuje coś Orliczowi w sąsiednim pokoju.

— *Baptiso te, Thadei, in Nomine Patris, Filii et Spiritus Sancti.*

Zaczyna grać karabin maszynowy. Leci ciężki, długi wąż granatu o łbie ognistym. O, już

*) Chrzczę cię, Stefanie, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

ugryzł potworny gad tam, tam opodał, pluje wysoko ziemią, dymem i żelazem.

— Jezus Marya! Kto się w Opiekę odda Panu swemu — modli się żarliwie stara klucznica.

Matka chwytą w objęcia dzieciny. Ojciec komenderuje: — Do piwnic, wszyscy!

Ukazuje się piękna postać Orlicza. — No, panowie skończyliście już swoje. Czas najwyższy. Moskale następują w sile dwóch pułków. Wieś musimy opuścić. Może trzeba będzie szablami torować sobie drogę. Ani chwili do stracenia. Na koń!

* * *

Wśród bzykających kulek wyjechały ze wsi ostatnie szpice aryergardy Orlicza.

We dworze pozostali państwo Bodechowscy z dziećmi.

* * *

Gdy w dwa dni później ten sam szwadron ułanów wjeżdżał ponownie do Gałuzi, zastał dwór doszczętnie splądrowany przez chłopstwo i kozaków. W piwnicy — trup ohydnie zamordowanego kołami i siekierą p. Bodechowskiego, a w walących się oborach, na poły oszalałą matkę, tulącą chłopaków do piersi.

Krwawo i drogo okupiły swój chrzest męczeństwa. Jeden trup więcej na drodze wieczystej walki Polski z moskalami o swego Boga.

Maryan Dąbrowski

* *

To parę drobnych przykładów poświęcenia ludu Chełmszczyzny i Podlasia dla Sprawy. Gdyby duch taki ogarnął i tych, co nie doznawali prześladowań za wiarę w tym stopniu jak unicy, szeregi polskich Legionistów wzrosłyby wielokrotnie, w przyszłość patrzeć-by można śmiało, bo byłby to dowód, że chłop polski jest już obywatelem polskim.

